

## Tadeusz Borowski Bitwa pod Grunwaldem

I

Po szerokim, zalanym słońcem dziedzińcu posesmańskich koszar, jak po dnie głębokiej studni wkopanej w kamienne ściany budynków, głucho, zacięcie wbijając w beton takt szedł Batalion i śpiewał. Ręce jego, odziane w zielone rękawy odziedziczonych po żołnierzach z SS kurtek, podnosiły się energicznie do pasa i opadały ku ziemi w gniewnym, jednolitym zamachu, jakby to maszerował nie Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i ochrypli śpiewem jeden zwielokrotniony człowiek. Tylko pstrokate nogi Batalionu, nakrapiane gdzieniegdzie jasną plamą wołokowych chodaków, mąciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zielonych gąsienic o przegowanym, sfałdowanym grzbiecie i nieruchomym tułowiu, obszedł sztywno dziedziniec, przywalony drgającym słupem słońca; minął kolumnę roślących ciężarówek amerykańskich, które wytrzymały ze swego wnętrza, jak z worka z gałganami, jaskrawą zawartość ludzi i bagażu; przybił gorliwiej beton pod wysmukłym, świeżo malowanym masztem, ponieważ wiatr zarzucał nań jak na wędkę barwną szmatę narodową: zelżał pod kupą bali, drew, ociekających igliwiami młodych sosen, ławek i krzeseł przygotowanych na wieczorne ognisko; skręcił ostro pod oszkloną niegdyś halą, w której odbywały się do niedawna patriotyczne wiece esesmańskie; zachrupotał wielonożnie po szkłe z wybitych dokładnie szyby; urwał wpół słowa śpiew i wsunął się jak w tunel w mroczną czeluść hali, odgradzoną od placu ostrym, słonecznym blaskiem i mięsiastą, szerniałą zielenią świeżo ciętych gałęzi. Oślepiąco kredowy wąż kurzu, który włókł się za Batalionem, zwinął się u wejścia do hali, zszarzał, przypadł do ziemi i rozdęty przypadkowym podmuchem wiatru napęczniał, pękł, wzbił się w powietrze i rozpląnął się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku na wąskim, twardym parapecie okna na trzecim piętrze jednej ze ścian studni i wygrzewając się nago na słońcu jak sparszywiały pies — przeciągnąłem się sennie, ziewnąłem z uznaniem i odłożyłem na bok zorganizowaną w którymś z pokojów oficerskich książkę, opowieść o bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygodach Dyla Sowizdrzała i Lamma Pasibrzucha.

— Panowie żołnierze — powiedziałem odwracając się do sali, żeby z kolei wystawić na słońce plecy. — Batalion pomaszerował do kościoła na mszę arcybiskupią. Dobrze spełniliście swój obowiązek wobec Ojczyzny, która wszędzie na świecie jest tam, gdzie wy jesteście. Wolno spać dalej.

Sala po prostu, po żołniersku śmierdziała zastarzałym słonym potem nie mytych genitalii. Pod niebielonymi ścianami, zdobnymi w bogoojczyźniane, hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi żelaznych, piętrowych łóżek; przez środek szły z gruba ciosane stoły, a pod ich nogami wałęsało się parę taboretów bez oparcia i błąkała się bezradna jak zagubione dziecko emaliowana spluwaczka. W powietrzu bzykały cienko wypasione, leniwe muchy i ciężko oddychali rozespiani ludzie.

— A jak maszerowali? Jak wojsko? Bo na ćwiczeniach łążą jak muzułman po błocie — odezwał się podchorąży Kolka, który spał przy ścianie od drzwi.

Olbrzymi i zylasty, nie mieścił się w skąpym łóżku. Chociaż z okazji rozdziału niemieckich marynarek pokłócił się z oficerami i postanowił bojkotować wojsko, nie zrzucił nigdy sukienego munduru; leżał w nim cały dzień na łóżku, dusił się od gorąca i bił podkutymi butami o żelazną poręcz, sypiąc za każdym poruszeniem fury słomy z przegniłego siennika na dolne łóżko, barłóg, na którym sypiałem. Krostowatą twarz zwracał nieodmiennie w stronę okna i patrząc bezmyślnie na mieliznę parapetu łąpczywie wsłuchiwał się w śpiew i tupot Batalionu.

— Polska piechota maszeruje dobrze, gdy ją polscy prowadzą oficerowie ku chwale Ojczyzny — wykrzyknąłem zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały mi się tak, jakby je kto skrobał rozpalonymi szpilkami. — Przez sześć lat w lagrze piątkami łązili, teraz odpoczęli dwa miesiące i znów łążą, chwala Bogu i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast kapów — oficerowie na czele. Uczyć maszerować to potrafią, ale żeby kucharze żarcia z kuchni dla Żydówek nie wynosili, to nie — dodałem patrząc obojętnie w przestrzeń.

— To pan do mnie kij przytykasz, jeżeli dobrze zrozumiałem — warknął gburowato chorąży, który czytał niemiecką książkę o Katyniu, i zdjąwszy rogowe okulary z nosa zamrugał ku mnie zaspanymi oczyma krótkowidza. Uporczywie chodził w obcisłych czyściutkich slipach, świecąc muskularnymi węzłami ciała. Od stóp do głowy pokryty był przyblakłymi wzorkami tatuazu, jak zakurzony gliniany talerzyk. Na prawym udzie pięła się ku pachwinie gruba, krzywo wyrysowana strzała, a czerwony napis wskazywał nieomylnie: „Tylko dla pań.”

— Jak kto ma dyżur w kuchni, to niech pilnuje, żeby nie kradli. Patrzy chorąży, czy kucharz kraść zdąży dla Żydówki w ciąży — rzucił od drzwi Stefan, który uczył się angielskiego i szeptem powtarzał słówka.

Cisnął książkę na stół i bijąc buciorami o kamień podłogi podszedł do okna. — Znowu sukinsyny gotują na węglu — rzekł wysadziwszy głowę za okno. — Jak mają kuchnię elektryczną, kotły i wszystko, co tam im trzeba dla nas, to co gotują w kuchence? Jasne, że obiad dla oficerów. Niby wszyscy męczennicy z obozu, bracia, koledzy, ale do maszerowania na mszę, a nie do garnka. A jak ci się podoba taki kontroler, co o tym wie i książeczki czyta z obrazkami? Jakby wlaź w tyłek Pułkownikowi, to by nie wylazł, aż dopiero z Podporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym śmiechem. Chorąży poderwał się na łóżku, uderzył głową o ostry kant górnego, zaklął ordynarnie na temat płciowy, pogładził się po rzadkiej i sztywnej siwiźnie i rzekł ze wstrętem:

— Nie czepiaj się mnie ty, wyskrobku bolszewicki, póki się ciebie nie czepiam. A jak ci się nie podoba co, to won z wojska. — Sutki piersiowe, ozdobione parą wytatuowanych uszu i sinymi kropkami imitującymi oczy, zadrgały mu spazmatycznie jak pyszczek zajączka. — Kradną, kradną! Nie szczekaj, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szczeka, ale złapie i gryzie.

— Właśnie, właśnie, gryź pan, panie chorąży. Pan jesteś psem od łapania. Pana trzyma Pułkownik na smyczy. — Hau, hau — zaszczekał chrypliwie Stefan i zmrużył złośliwie maleńkie, wypukłe oczki. Zza wykrzywionych nerwowo warg zaświeciły zęby, równe i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stołów wyprężony, jakby był przywiązany do budy.

Chorąży powoli wstał z łóżka. Podchorążak Kolka poruszył się z zainteresowaniem i wyjął pięść spod głowy. Siennik zachrząścił i słonia posypała się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z dezaprobatą brwi.

Z dziedzińca zacharczała odjeżdżająca ciężarówka. Doleciały nagle strzępy jazgotliwego gwaru i umilkły, jak nożem uciął.

Jednocześnie zaś chory Cygan, którego omal nie utłukłem w walce o lepsze miejsce w wagonie podczas transportu do Dachau, poruszony nagłą ciszą, podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

— O ludzie, ludzie niespokojni, znowu się wam bić zachciewa — zaskomlił pociągając płaczliwie nosem. — Mało wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz Polak, nasz brat, zawsze głupi. W łyżce wody chce utopić brata. — I przytknął siną, wychudzoną twarz do poduszki w czerwone maki, którą przyniósł z nocnej rajzy po bauerach. Cierpiał od kilku dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. Naćpał się nie gotowanego mięsa baraniego. Leżał nieruchomo, cierpliwy jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpital z małego kacetu Dautmergen.

Chorąży sztywno usiadł na łóżku. Podwinął pedantycznie wystający róg prześcieradła, jedynego zresztą w tej sali. Przebiegał nerwowo palcami u nóg. Chwycił książkę, przewrócił z szelestem parę kartek i tępo wpatrywał się w fotografię grobów w Katyniu.

„Nie będzie awantury” — pomyślałem rozczarowany i wychyliłem się przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na wąskich pasach zieleńców, między rozwalonymi stertami gnijących śmieci, które wonią zarażały cały dziedzińiec, pełzały w górę anemiczne drzewka klonów i szczelnie krzywił się tuż nad betonem kwitnący czerwono żywopłot. Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem, w wielu szeregach bliźniaczych okien zwisaly ze sznurów strzępy różnobarwnej bielizny i kręciły się na szpagatach świeżo malowane drewniane kufarki, wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam gdzie mieszkali prominenci, szedł rząd weneckich, równo oszklonych okien, dołem tonący w soczystym cieniu, a górą — w słońcu jak w złotej farbcie. Z parteru, z pięter, gdzieś aż spod strychu, darły się chrapliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żołnierze, ciągnęły po autostradzie kolumny aut. ciekł nieustannie wąski strumyczek rowerów, barwne letnie sukienki migały wśród bujnych, mocno osadzonych w ziemi, platanów.

Tam właśnie był świat, do którego puszczano za dobry marsz, za karny meldunek, za sprzętnięcie korytarza, za lojalność, za niezłomność, a także za Ojczyznę...

A w środkowym skrzydle budynku, na drugim piętrze, tam gdzie były kuchnie Zgrupowania Wojskowego Allach, z małej, zardzewiałej na brąz rury wystawionej nonszalancko przez lufcik — snuł się cichutko niebieski, delikatny dymek i drżąc cieniutką smużką rozpraszał się ukradkiem w powietrzu.

— Ładnie jest, bracia, na świecie — westchnąłem z udanym smętem — ale cóż, człowieku: siedzisz zamknięty jak za Niemca, przepustki ci na świat nie dadzą, bo nie umiesz się lizać, przez dziurkę w murze nie wyjdiesz, bo ustrzelą, wiadomo — *Haftling*<sup>1</sup>. A jak siedzieć? Jak komu syn barana przyniesie albo Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć. A ty? Siedź, jak głodno i do domu daleko. Żeby chociaż nie kradli! Byłoby lżej, że wszystkim jednakowa dola... Ale do czasu, do czasu...

<sup>1</sup> *Haftling* (niem.) — więzień.

Przez cały czas patrzyłem spod zmrużonych rzęs na chorążego. Chorąży poruszył się niespokojnie na łóżku, usta drgnęły mu złowrogo. Ale nie powiedział nic. Wyciągnął z szafki mundur i począł się ubierać sapiąc z lekka przez nos. Zacisnął wargi i patrzył w ziemię.

— Pan chorąży pewnie na mszę grunwaldzką? — zapytał obojętnie Kolka z drugiego końca sali.

— Nie, panie podchorąży. Pójdę na kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znajdę! — mruknął złowieszczo przez zaciśnięte zęby.

— Znajdziesz, panie chorąży, znajdziesz — zanucił Stefan. — Uważaj pan tylko, żeby panu synka nie złapali, bo kto panu da jeść? Pułkownik barana nie przyniesie.

— A ty, Tadius — podchorąży Kolka przełożył nogi przez poręcz łóżka — nie pójdziesz na *Grunwald*?

— Nie chce mi się. Może pójde do teatru. Podobno na ognisko niespodzianki szykują. A co ciekawego na mszy?

— Idź na mszę — namawiał leniwie Kolka. Zapusił ręce w spodnie i czochrał się z zainteresowaniem.

— Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu Redaktorowi napisał do gazetki. Może da ci gulaszu? Gulasz dziś na obiad.

— Da i bez tego. Co dzień mi zupy daje.

— Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć Arcybiskupa?

— Cóż jest między nami wspólnego? — rozłożyłem ręce z emfazą. — Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz — bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy. A *Grunwald*! Albo mi tu źle na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada — ukloniłem się w stronę chorążego — a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą — dodałem rzeczowo — jeszcze go nie ma. Dopiero generalicja podąży godnie i w ordynku na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modę z koca koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie, Pułkownik podobny był do masywnego kloca o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto, i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major owinięty w dziewczą zieleń niemieckiego munduru oficerskiego. Ciskał rękoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kaznodziejsku tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allah. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się nie zróżnicowane stado zielonych i czarnych kurtek, gestykujących rąk, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furażerkach, obficie posypanych narodowymi barwami.

— Że też ich Niemcy nie zdążyli wybić! — Stefan oparł się w zadumie o parapet i patrzył ze złością na dziedziniec. Czarne, sterczące włosy lśniły jak sierść psa. — Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Byle z daleka od niej mieć dwie miski zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! — Odchylił się od parapetu i płaską dłonią plasnął się w czoło. — Przecież sam widziałeś, trzymałem tę hołotę na bloku, karmiłem, nadstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

— Nie chwał się, blokowy — przerwał ostro podchorąży Kolka, aż Stefan odwrócił się do sali — byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej — zupę.

— A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy, czyste koce, napchane sienniki? To mało? Wyżyliby na komandzie?

— Oczyszciliby się powietrze, jakby zdechli — dorzuciłem pogodnie, patrząc ubawiony, jak Stefan, były kolega, flegler z Birkenau, potem laufer i pipel esmański na małej komanderówce, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uważnie po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym bloku, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwala się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanzu.

— A pamiętasz — ciągnął w rozgoryczeniu — jak w Allachu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na pryczy i — nic, tylko młynek i placki piec. Tu, rozumiesz, świat się przewala, artyleria esmańska w obóz, jakieś kobiety posmażyły się, wsie naokoło palą się, chłopcy poszli na rabunek z nożem. Amerykanie przychodzą, szął, zbratanie ludów, koniec wojny! A ten — młynek, placki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak...

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy korzystając z okazji zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,  
brat poznaje wreszcie brata.  
Kręci młynek mieląc mąkę  
nasz Pułkownik, pan Kuriata.

Drugą miskę dostał zupy,  
więc się poczuł silny władzą  
Ja, ja mogę już do służby,  
niech mi tylko zjeść co dadzą

Pułkowniku, ostro cel!  
Pułkowniku, mąkę miel!  
Niech się klin wybija klinem,  
pułk stворzymy ci z kasynem,  
za wygranie każdej bitwy  
damy zupy — cztery litry!

— Tak było, masz rację, Stefan — pochwaliłem. — To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa? Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył mnie spokojnymi oczyma.

— Dziwię się panu, inteligentowi — rzekł z goryczą. — W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem kupą się trzymać i nie warcholić! Warcholstwo gubi nas! Przez nie ginimy!

— W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoda panu chorążemu? — szczechnął zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw chorążego. — Książeczek się pan chorąży naczytał, książeczek, zupy pojadł, Nie-meczkę pomacał, to do zgody woła... W Katyniu, co?

— Pewnie, że w Katyniu, ty bękarcie! Ty wiesz, co to znaczy? To twoi kochani rodacy ze Wschodu, twoja Polska, gadzino zapluta! — wybuchnął nagle chorąży i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie na-biegły krwią.

— A co, nie podoba wam się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby syneček mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuszki sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

— Idź do tej swojej, idź! — syknął chorąży przez zęby. Zbielałe wargi poczęły mu drżeć. — Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

— Nie bój się pan, pójdę — zaśpiewał łagodnie Stefan — mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójdą i będę na was czekał, o będę!

Podchorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na mój barłóg furę śmieci. Kiwnął do mnie wesoło ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochylenie głowy. Czarny Cygan jęknął boleśnie znad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi zakołysałem głową, jakby próbując, czy w niej nie zachłupoce woda.

— Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyń zrobili, idź! — krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

Chorąży szarpnął za stół, przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo ciętymi gałęziami hali odezwał się srebrnie dzwonek; tłumek zebrany przed halą sypanął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przystrojonej suto w czerwień i biel, wszedł ksiądz w fioletach i otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży posterował do hali.

— E, dajcie no spokój! — wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. — Nie bić się, sukinsyny! Arcybiskup idzie na mszę świętą!

## II

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesel siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wyłaził ze śnieżnego, wykładanego a'la Słowacki kołnierzyka, i poważnie podawał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozował na krzesle Aktor. Czuł się nieswojo w ukradzionym cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytająco okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok z karminowej sukni rozlewa się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. First Lieutenant<sup>2</sup>, właściwy komendant obozu, założywszy nogę na nogę, żuł obojętnie gumę i błyszcząc obco brylantyną tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbił się tłum, szczelnie oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzożowemu krzyżowi, wyciętym z papieru orłom przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych zszytych z prześcieradeł, otwartym drzwiom, w których kołysał się bluszcz i drżało pogodne niebo, przyglądał się i milczał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

— Jak przeczytasz *Sowizdrzała*, to mi oddaj — zaszeptał Redaktor. — Przyjdiesz do nas na gulasz? Bo my wcześniej do teatru idziemy — uklęknął na jedno kolano i uderzył się pięścią w piersi.

— Przyjdę — zapewniłem go żarliwie, osuwając się obok niego na ziemię.

Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd beczynnie przy fotelu ksiądz z Dachau poskoczył żywo i włożył mu mitrę na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie uwierała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochylonymi głowami przepłynął słaby szept modlitwy.

Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wąziutkim skrawku zieleni pod anemicznymi platanami, rozkładał się transport wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek. Zieleniec zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobiety, rozwrzeszczane czarne bachory, omdlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przejrzyste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na halę, a co energiczniejsi poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

— Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekł pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami walizek, poduszek i kołder siedziała dziewczyna o niezwykłych oczach. Zamiast krzyżyka dyndała jej się na szyi dziwaczna, podłużna kapsułka, podobna do małej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jędrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczywszy wysokimi cholewami walizę, siedział władczo Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okopu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

— Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzę w żywe ciało narodu — odrzekłem wykrotnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego pismka obozowego wydawanego przez księży.

---

<sup>2</sup> First Lieutenant (ang.) — wyższy stopień oficerski.

— Ta pani — Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny — właśnie uciekła do żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakolysały się pod bluzką.

— Z band leśnych? — domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych sztabach słuchałem radia z Warszawy. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

— Wprost przeciwnie. Z naszych. Żydówka. Uciekli. Jak kro wy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas jak w zakazane zboże. A tu ugór, panienko! — przechylił się do tyłu, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po łydce dziewczyny.

Podąłem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

— Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć złąziła pół świata.

— Jesteśmy z jednego domu — rzekła dziewczyna — z getta — uśmiechnęła się, jakby przepraszając — i znów spotkaliśmy się w jednym domu — ogarnęła dłonią kamienie koszar — w domu esesmańskim.

— Jakby wojny nie było — dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie roześmiał się hałaśliwie. Potarł zmarszczone dłonie i klepnął się po skórzanych bawarskich spodenkach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. — Niech pan pamięta o krowach, niedoszły poeto — dorzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolana.

— Żeby szukać lepszego pastwiska? — zapytała znad pierzyn dziewczyna. Czubkiem palców musnęła włosy mężczyzny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

— Nie — odrzekł niechętnie Profesor. — Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

— A gdzie jest nasza łąka?

— W Palestynie. W więzieniu Akko pod Jerozolimą. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, cha, cha, cha — parsknął grzmiącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedziniec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po skończonym nabożeństwie, napełniając z szumem dziedziniec jak miskę. Rój prominencji, oblepiający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiąkł w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

— Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jemiola na niemieckim dębie. — Pogardliwie machnąłem ręką w stronę placu. — A jednak siła. Bo my walczymy o ideę! A cóż tam, w tej waszej — Polsce?

Nie odchodziłem, szerokie sukienne spodnie natarczywie łaskotały mi uda. Dziewczyna zsunęła się miękko z pierzyn i wylądowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakolysał się znowu pod bluzką.

— Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa siedzi, a druga połowa trzęsie się? Że to z powodu korony orła? Zna pan przecież polskie dowcipy? Otóż wcale nie! — krzyknęła z pasją. — Wcale nie dlatego!

Chwyciła energicznie za walizkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki. Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa toboły i bijąc po męsku butami o beton podygowałem w górę schodów. Cały czas patrzyłem w kark dziewczyny, która, objuczona betami, człapała przede mną. Jakies jej ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piśkliwie, chwytaly rozdygotanymi rękoma za bety i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znów po walizy, pokrzykując wesoło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znów o dziewczynę i pochwyciłem jej rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jęli się do na wpół wywalonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokiereszowanych, spiętrzonych prycz. W ciemnej jak piwnica izbie wzbil się aż pod sufit tłusty kurz i dusił w gardle. Zbierało się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowanych na tyłach koszar ludzi, którzy nie dbając ani o *Grunwald*, ani o świeży lipcowy dzień, ani o kary grożące według regulaminu, siedzieli kupami przy niezliczonych ogniskach, zbudowanych z paru sutych szczyt odłupanych z prycz i stołów, pitrasili w rondlach, menażkach, okopconych paczkach po konserwach i w zdobycznych aluminiowych garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stada w

noc przedgrunwaldową, kaszę, zupy, kompoty, piekli na zardzewiałych rozpalonych blatach placki kartoflane i mieszały drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami miksturach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gęsta, brudna śmietana gotująca się od dołu, bulgotał, wzdymał się, podnosił się leniwie znad ziemi, wylewał się przez szczyrbaty mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu leżącego na horyzoncie i owijał jak kremem kopuliste platany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny, zmieszanej z dymem, ostro gryzł w nozdrza, aż kręciło się w żołądku. Od spodu, spod dymu jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie jado ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i za ciągnąłem do białej, wykładanej kaflami umywalni, która zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem śmierdziała jak latryna.

— To wy tak żyjecie — rzekła pogardliwie Żydówka podstawivszy ręce pod strumień wody. — Z przodu *Grunwald*, a z tyłu pichcenie. Ja bym dnia tutaj nie wytrzymała-. Ach, nie wytrzymała!

— Przyzwyczaiłaby się pani — odparłem urażony. — To jest jeszcze kwarantanna. Ni to kacet, ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Moralną! — uniosłem się gwałtownie. — Ale — zmitygowałem się — ludziom chce się jeść. Człowiek musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili, kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietą! To są zasadnicze sprawy. Na to i *Grunwald* nie pomoże.

Strząsnęła z rąk natrętnie krople. Wytarła ręce o kraj spódniczki. Błysnęła udami. Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się cicho za nami. Nie zepsuto ich do tej pory.

— I to po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? — Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. — Nie mówię o chlebie ani — w głosie jej przewinał się leciutki akcent ironii — o kobiecie. Ale pójsz po prostu do lasu?

— Bałem się — wyznałem szczerze — bo pilnują. Przeżyć tyle lat i zginąć po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek ceni siebie w dwójnasób.

— Bał się pan! — klasnęła w dłonie — ach, bał się pan!

— A panią co ciągnęło na... na cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! — Pokazałem ręką rozbite okno, w którym kłębił się dym. — Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien wychodzących na las.

— Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydziłem się przyszczy wylazających spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z kołnierzykiem.

— Przez sześć lat byłem katoliczką, Polką, nauczyłam się przykazań takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mani dedykację w oczach: „Kochanej córeczce, Jahince, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia.” Nazywałam się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki — powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie, nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

— Przecież pani jest jak Aryjka — rzekłem pochwalnie. Oczy jej załśniły z wdzięcznością. — To strach. A gdzie miłość?

— Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów — poskarżyła się naiwnie. — Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milczeniem współczucia.

— Zaciągnął się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach. Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak łatwo!

— Nie czekając na odpowiedź? — zdumiałem się. Zacerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

— Bałam się, że napisze... — Urwała. — On był jak endek. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wolałam, żeby mnie nazywano chaimką, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło potracając nas i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota. Dym z okien wsiąkał w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

— Dobrze to rozumiem — odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk. — Jest pani bardzo odważna. Odwaga strachu. Chciałbym być także takim. — I wypaliłem jednym tchem: — Nie poszłaby pani na spacer, ale tak, poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbiesiłbym się chyba z tęsknoty za przestrzenią i pieszko poszedłbym na zachód czy na wschód. Żal mi zostawić książki, które zbierałem. Ale z panią — ścisnąłem ją poufale za rękę — nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie.

Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dźwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żołądek ćmił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znow przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wejściowe. Coś tam musiało się dziać.

— Jutro odjeżdżamy dalej — rzekła dziewczyna oswobodzając rękę. — Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim... Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! — I nagle rzekła prawie szeptem: — Panicznie się boję, że pojedę do Palestyny. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką — tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za mąż za Żyda? Nie, nie! — krzyknęła, jakbym namawiał ją do tego. — Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie — potwierdziła stanowczo swoje myśli — nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym się zakochać w panu? — Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. — Bo pan umie słuchać. Tak jak Romek. To ten z Siedlec — wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

— Nie spotkamy się nigdy! — droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały — ale — zawiesiła głos — to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją, zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

— Kiedy pan chce iść na ten... spacer?

— Po obiedzie, dobrze? — zaszepotałem z przejęciem. — Będzie łatwiej przy zmianie warty. Pójdziemy.

Znow paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

— Chodźcie, zobaczycie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! — i zatupał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedziałwszy mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozplywając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie jeepami, w których stali żołnierze, Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł zbiegając z bulgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna zapełniły się rozgdakanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendatury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie za-jaskrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiął się miękko pod palcami. Przytuliła się ufnie.

— Bydło — rzuciła przez zęby — ach, co za bydło! Ileż bym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy — nakryła dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

— To przez tych kucharzy — informował ktoś przed nami — to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie taki jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miskę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukreć cholerze antychrystowi, i kwita. Ale z polskim narodem czy można? — I zadumał się posepnie.

— Już im dobrze dali — pocieszył inny — przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, jak wam mówię.

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniu wnętrzu pokoiów krzatali się na gruzach sprzętów ludzie, ratując, co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drzwi przeciwległego skrzydła koszar wysunęła się zbita grupa ludzi i szamocąc się jak sfora psów ruszyła przez pusty plac wprost do komendatury. Z pochylonym łbem, jak bodący



byk, szedł przodem chorąży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał przez pół dziewczynę, która mu się wrywała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarł, uspokoił. Reszta po-skoczyła i otoczyła ich i olbrzymiego Kolkę, górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wrywała się gniewna.

— To cóż, po obiedzie — rzekłem z rezygnacją i rozepchnąwszy tłum wypadłem na plac. — To koledzy! — krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przedtem, zanim otoczyli nas żołnierze.

— Ej, Tadziu — zagrzemiał roześmiany Kolka — złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztabie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędeż, bydlę!

I pchnął kolaniem pędzonego kucharza. Kucharz widząc żołnierzy wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, zabulgotał gardłowo i zamierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem, stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszył wargami, jakby się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

— Bo kradł, proszę księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł! Kradł i cudzołożył! — krzyknął i błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. — I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia — dodał buntowniczo, — Nie z Warszawy, z Londynu!

### III

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w liryczne kwiatki. Po prawowiernych mieszkańcach, oficerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo uciekli do rodziny, albo zajęli opróżnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko solidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez auslenderów, którzy ledwo wyzwoleni z obozu wpadli po skończonej wojnie w bezpieczne koszary, wytłukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmowe, wybili rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amunicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzucające się w oczy mahoniowe salonowe meble i zapaskudziwszy z czubem miski klozetowe odeszli śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tapczan przykryty imitacją tygrysiej skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych spomiędzy śmiecia, zalegającego dziedziniec, biblioteka bowiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy SS-manów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną nie wiadomo skąd wy-trzaśniętym Norwidem, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła. Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, cóż dopiero dla oficerów!

Redaktor wepchnął się do środka, piastując w rękach dwie pełne, dymiące zapachem mięsa miski. Wetknął mi jedną do rąk.

— Masz, jedz i rośnij — rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonalił sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białymstoku, głuchym jak wyschły pień. Obaj napełniali pokój niespokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już zachłannie głodny. Z okazji *Bitwy pod Grunwaldem* wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

— Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju — rzekłem do Redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i mlaskając głośno językiem wziął się rażno do jedzenia — żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie, no i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju to cholernie przyjemnie!

— Albo we dwoje! — huknął Redaktor.

— Z tym drugim? — skrzywiłem się z niesmakiem.

— Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, widziałem!

— Co się dziwisz? Po obozie to już chyba czas? — Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony.

— Może ucieknę z nią na Zachód.

Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

— No, wiesz — zakpił — ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jakbyś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miskę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidlało się w tęczowe, pawie błyski.

— No, nie martw się — Redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. — Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

— Byłem — mruknąłem niechętnie. — Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

— Prawdziwa sensacja obywateli się bez prasy, mój mileńki. Zresztą ksiądz Tokarek nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałek chleba i umaczał w sosie.

— A tobie udało się uciec?

— Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdiesz. Wyklarowałem okejom, że ja nic, że przypadkowo, powiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jedną rękę podał. Znasz Stefana? — zapytałem. — Był blokowym na szonungu.

— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nie najgorszy.

— Szuja — odrzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec.

Redaktor pokiwiał głową. Przechylił miskę i pił sos.

— Można powiedzieć — przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem — że go troszkę nie lubieś.

— Ale umiał znaleźć się, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam pułkowników i majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że o la!

— Nie wsadzili go przecież, słyszałem.

— First Lieutenant dał mu do wyboru: albo karę bunkra, albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

— Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. — Wylizał łyżkę, wytarł miskę papierem, papier wyrzucił przez okno, miskę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

— Pójdiesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz — to był ten drugi, głuchy — poszedł na bridża do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! boby wszyscy chcieli. Grają teraz razem w karty. Nic ich nie ruszy, nie tylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przy tym podejrzliwie. Nie lubił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który, zwijając się przy zamkniętym oknie, wyściełał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z nie dojedzonym gulaszem. Pewnie go zostawili na wieczór. Redaktor rzucił klucz na stół i nie powiedziawszy ani słowa wyszedł. Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słup, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, o-prócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztab przed złodziejami lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, z których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, kłął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

— Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przyjdźcie jutro. Jutro będziemy powtarzać *Grunwald*! Každy zobaczy! — krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapiał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zdeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

— Za grosz inteligencji — rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych drzwiczek dla aktorów. Gdy wśliznęliśmy się na widownię i na migi załatwiliśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarnoniebieskim mroku, z którego błyszczały ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważane żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zieleń i podpartej czarnym pudłem rozdrzanego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapłoniona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. — Paru z nich znałem: byli schreiberami w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzatali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i dłonią wskazując na Śpiewaczkę kończył z patosem wiersz:

w imieniu Bogurodzicy, Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!

Straszliwy trask wyważonej bramy i triumfalny krzyk wwalającego się do przepelnionego garażu tłumu złał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zaplonioną Rzeczpospolitą oraz jej kochanka, Aktora, w zachwyceniu w nią wpatrzonego, Redaktor, który się nareszcie umieścił jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno i z nieklamany zadowoleniem:

— Szkoda, że jeszcze łóżka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita! I warta grzechu!

#### IV

— Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód? — Dziewczyna pochylała się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakotłosał się pod bluzką. W jej niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne, rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

— Nie, nie rwie mnie już nigdzie — westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię pachnącą zbutwiałym igliwem. — Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce.

Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piał się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił ocierając się o korę drzew. Słońce, rozszczerzone w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i tkwiło w bladozielonej trawie, która przeświecona jak cieniutkie złoto pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło, jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na łodydze dziewczanny.

— Gramoli się żarłocznie w konchę jak kosmaty psiak do miski z mlekiem — rzekłem pobłaźliwie.

— Raczej jak dziecko na parapet okna — zaobserwowała dziewczyna. — Ach, ileż ja ich wyniańczyć musiałam. Nienawidzę dzieci! — krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem. — Chodź — zdecydowała się nagle. — Już późno. Patrz, jak pociemniały sosny. Czwarta? Piąta? — Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. — O, jak nisko słońce. — Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

— Chodź — zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce. — Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga ujęta w -tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

— Widzisz, Nino — na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół — tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

— No, właśnie — podchwyciła Nina — jedź ze mną na Zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

— A chłopiec w Polsce?

— Zapomnę o nim.

— Ale dotąd nie zapomniałaś?

— Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

— Nie miałaś?

— Ci ludzie, z którymi jadę od Polski — podjęła po chwili z wysiłkiem — to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad drogą płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar, a opasawszy je zielenią jak mostem pięło się, nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przebłyskujące różowo poprzez niebieskawy dym powietrza jak przez jedwabny szal.

— Nino, zostań ze mną — rzekłem niespodziewanie. — Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, za dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Boję się przestrzeni, boję się ludzi, bo cóż ja jestem? Jakie mam prawa? — Umilkłem szukając w myśli praw przysługujących mi. — Żadnych! Rozumiesz, żadnych! — zawiesiłem głos i wpatrzyłem się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. — Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

— Ja się nie boję — rzekła sucho Nina.

— Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! — Urwałem szukając sugestywnej metafory. — Być jak drzewo bez korzeni! Uschnąć!

— Więc wracasz do Polski — stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. — Chciałeś mnie tylko na jeden dzień, jak wszyscy.

— Wszyscy? — gwizdnałem przez zęby.

— Tak, wszyscy! — krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. — Wszyscy, dla których jestem Żydówką! Widzisz to? — ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. — Nie spytałeś mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wyrzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! — krzyknęła zjadliwie. — Wracaj do Polski!

— Wracaj do Polski! — Przestraszyłem się głosu, jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i uklonił się dziewczynie. — Wracaj do Polski — powtórzył. — Chodź ze mną. Ja idę na piechotę.

— Na piechotę? Toś morowy chłop — zachwyciłem się zdawkowo. — A gdzie Niemka? — rozejrzałem się podejrziwie.

— Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu — przejechał ręką po włosach. — Fajna dziewczyna. Pójdiesz ze mną?

— Wiesz, poszedłbym, ale... — zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z trzaskiem.

— Książeczki, książeczki — uśmiechnął się gorzko — to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A ja ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? — Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego oka. — Co tu masz prócz tej Żydówki?

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina przejmującym szeptem. — Pan jest, pan jest... — zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. — Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

— Obóz jest obstawiony przez Amerykan — rzekł do mnie. — Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić! Wszystkich!

— Oszalałeś! I Pułkownika, i Majora? I cały sztab? A księży, a kuchnie?  
— Idź do obozu, to zobaczysz — powiedział Stefan. — Czekam w Polsce.  
— Nie wywożę, mylisz się, przecież dziś *Grunwald*.  
— *Grunwald!* — Stefan roześmiał się, dotknął swego podbitego oka. — Ruszaj z *Grunwaldem* — rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.  
— Wracajmy do obozu — rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba wyrzucona na brzeg. — Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.  
— Na pewno się uda — powiedziałem nieco zbyt skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przygłębła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. — Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roztajał. Gmerał w otwartym plecaku. Czerwone kepi, ozdoba muzulmańskich oddziałów SS, zsunęło mu się na ucho. Czarny kutas dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. Kopuły drzew szumiały, jakby las szedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czołgów i porządnie, jak w sklepie z manufakturą, leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekały jutra. Między samochodami krzatali się półnaczy Murzyni. Świecili się ostrym, brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby wyszedłszy na koszary od tyłu wdrzeć się do nich przez rozbitą zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy podpartym paroma patykami, w głębi cienia siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci staliśmy na łące przed bramą, jak para zagubionych dzieci przed chatką czarownicy.

— Zaczekajmy do zmroku — rzekłem zdjęty niepokojem — może nie puszczą nas. Wracajmy do lasu. Wysunęła mi się spod ręki, parszkając krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Tak ci się śpieszyło na *Grunwald*, i co? Znowu się boisz? Poczekaaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakikolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką, prac przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się bieć za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć, ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich zdejmując z ramienia karabinek zawołał ze śmiechem na całe gardło:

— Fraiilein, Fraiilein! Halt, halt! Come here!

— Stop, stop! — krzyknął piskliwie drugi.

Śpiący u drugiego krańca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, który mu się wysunął spomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, pochylił głowę na okamgnienie na prawo i —

Dziewczyna obronnym ruchem podniosła rękę do gardła, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miękko osunęła się za nim, jakby pośliznęła się na cegle; zniknęła za krawędzią jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy śmiejąc się wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten, który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramię, podniósł z ziemi hełm, otrzepał go, włożył na głowę i pogwizdując bezmyślnie, pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na o-czach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią wardze usiadła duża niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała bzykając. Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe

oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła o mdłym zapachu krew przesączała się szeroką plamą przez bluzkę, opinającą zbyt wydatną pierś, i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman o kształcie świstawki przesunął się na szyi na bok, zawahał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem spod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i podniósłszy się z klęczek otrzepałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy skupionych i milczących. Z trudem przepchałem się łokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciaśniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymiły się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. — Wiatr skręcał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mur. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelestnie zsunęły się w powietrzu, zabielały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym trzaskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i opadł. Z niezmiernej oddali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza ściany. Spomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy wysadzanej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami, nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny jeep wypchany żołnierzami, prześliznął się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł hamując ze zgrzytem.

— *Whafs happened?* Czemu ci ludzie tak krzyczą?

First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W otaczającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płótna. Oficer napotkawszy spojrzenie zamrugał i ściągnął nieco wargi. Wysunął z auta nogę i zakolysał nią z wahaniem. Słońce zaśniło i rozkwitło w brązowym wyglansowanym półbuciku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobył paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i porwany wiatrem znikł w powietrzu. Podeszedłem, nie śpiesząc się, do auta.

*What's happened?* — Co się stało?

— *Do you speak English?* — zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się, i naraz zaczął żuć.

— *I do* — kiwnąłem. Mój głos zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

— *What's happened?* — powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wyprysnie z auta. — Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem opuszczonym lufą na dół wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

— *Nothing, sir.* Nic się nie stało — uspokoilem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. — Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobieląła.

— *My God* — powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w u-stach, gdyż krzywiąc się wypluł gumę. Różowa grudka zaczerwieńnięta się w kurzu drogi — *My God! My God!* — Chwycił się za głowę.

— *My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni* — odrzekłem obojętnie. — Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza, jak napęczniały balonik, pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrząc w oczy żołnierzom cały czas wrogo skandował:

— *Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!*

## V

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stołach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek bieleły w gęstym mroku jak oskrobane z włókien wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładne, jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypatroszonych brzuchów, wylewały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. — Pod nogami szeleściły zwały podartych, zduszonych książek. W

powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gniły i rozkładały się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem — czerwoną rakieta. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelestnie spłynęło po oknie, jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zawahały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła zjrzałem do szafy. Wygarnięto z niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych płatków kartoflanych. Zaszleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakieta spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silniej czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce przeszorowały po szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozpląnął się w nagłym chrzęście słomy. Umilkło.

— Cygan? Cygan, bracie, to ty? — zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem od szafy i czepiając się łóżek brnąłem w głąb sali. Rozbite szkło zachrząściło pod nogami. — Cygan, jesteś? — Zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

— A gdziebym był, jak mnie tak wszystko pieruńsko boli! — zajęczał w ciemności Cygan. Siennik znów zachrząścił niespokojnie. — Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

— Nikt nie przyniósł kolacji? — krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. — Nie ma kolacji — powtórzyłem machinalnie. — A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

— Nie było nikogo, nikt nie pilnował — ciągnął płaczliwie Cygan zachłystując się słowami jak płaczem. — Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tadku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, to by panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzierali, panu Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O Boże miłosierny, zlituj się nad nami. I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybronilem. Pod głową go miałem.

— Nie trzeba było surowego barana jeść, to byś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną — rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

— Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało — zaklął Cygan pochlipując. — A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojechał do pana generała Andersa.

— Redaktor? Co mi zupy dawał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! — Uczulem znowu, że jestem głodny.

— A pan chorąży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze — ciągnął monotonicznie Cygan. Czerwona rakietka znów rozjarzyła się na granatowym niebie, obok wykwitły zielone, pomarańczowe i żółte, razem bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak ręciami trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. — A mówili, że pana chorążego i pana Kolę za karę do Polski odesłają.

— Przecież Kolka chciał jechać do Włoch — zawołałem w zdumieniu. — No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

— A panu chorążemu szafkę rozbili, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

— Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Sameś pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś, jak tata chował — odezwał się z dołu syn chorążego. Łóżko zaskrzypiało z pasji.

— O, udało się panu wrócić? — ucieszyłem się uprzejmie. — Tatuś martwił się o pana.

— Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się — burknął syn chorążego. — Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojadę — dodał z lekceważeniem.

— Przywiózł pan co?

— Przywiózłem — odparł — ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. — Pogmerał, a z ciemności wydobył się oburzony kobiecy pisk. — Niemrę kupiłem. Przeciągnąłem przez dziurę. Znajome kowboje na warcie stali.

— Ale pan ma szczęście — westchnąłem zazdrośnie.

— Pan by też mógł mieć, jakby pan pochodził. A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

— A jutro? Jak będzie transport?

— O jutrze będziemy jutro gadać — ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. — Chłopaki się nie dadzą.

— Tak pan myśli?

— Ale, szykują się do obrony — zapewnił z przekonaniem. — Tam — machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza. — Grunwald robią. Ale my zrobimy lepszy. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakiety na *Grunwald*? Jak ustawią ze dwa cekaemy na strychu, jak pluną... Co, okej nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Lecz tylko owinał kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. Fontanna rakiet przepływała przez powietrze, opadała rozżarzonymi kroplami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

— *Grunwald* robią — rzekłem do syna chorążego. — Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znaleźli, bo szkoda.

— O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał, jakby w za-dyszce. — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna albo co? A może pójde z nią do chłopaków i będziemy siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcję, to się wyjdzie, i dobra, do następnego razu!

— Podobnież do Koburga transport ma iść — odezwał się Cygan. — Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tadku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej zapadłej twarzy błyszczały niesamowite, jakby nafosforyzowane.

— Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoda, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, tobyś nie miał kłopotu dzisiaj — rzekłem z pogardą. Syn chorążego zachichotał i pokręcił się na łóżku. — Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza — dodałem łagodniej. — Bo co innego robić?

— Idź pan na *Grunwald* — poradził syn chorążego — a jak się skończy, to się pan tu prześpisz. Bo ja mięso idę gotować.

Wstałem od stołu i brnąc po książkach dotarłem do drzwi. Naraz otwarto je z drugiej strony i z czarnej nory korytarza zamigotała w świetle żółtej rakiety ostra, ciemna twarz o wpółotwartych ustach. Rakietka spłynęła w dół, a błyszczące okulary nabiegły różową poświatą.

— Profesorze, to pan! — krzyknąłem histerycznie. Podprowadziłem go do stołu.

— Szukał mnie pan?

Profesor był wciąż w skórzanym tyrolskim stroju. Po białych, z rzadka porośniętych czarnym włosem kolanach przesuwaly się kolorowe cienie, ogarniały bawarską koszulkę, wspinały się po twarzy i przez sufit uciekały za okno.

— Szukałem — rzekł Profesor. — Miałem przecież być u pana. Zadbalem dla pana o dobre miejsce przy ognisku. Zaraz się zacznie. Gdzież pan był tyle czasu?

Klepnął się po kolanach. Sięgnął do kieszonki. Zmięty, pokruszony papieros przewinął się przez palce i rozżarzył się w ustach nikłym płomieniem, napędzając czerwien w wargi, kładąc się słabym refleksem w rozpadlinach twarzy.

— Nie wiem, gdzie byłem, doprawdy — rzekłem słabo. Opuściłem głowę i zapatrzyłem się w podłogę. Przedarty leżał na ziemi drzeworyt z bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygód Sowizdrzała, dziewczyna z nagimi piersiami grająca pod ścianą na gitarze. — Gdzieś laziłem po obozie. Czy to nie wszystko jedno! Konwenanse towarzyskie? Tu! W przeddzień transportu? I tak jutro nie spotkamy się więcej.

— Ziemia jest mała! — zawołał Profesor. Zaciągnął się papierosem. Puszysty kłęb dymu błysnął różowym podbrzuszem i wypiąwszy siny grzbiet rozpląszczył się pod sufitem. — Oczywiście, że się spotkamy. Nie na tej, to na innej łące — wrócił do swojej ulubionej myśli. — Tylko... — naraz zeszytywniał w pół słowa. — Zastrzelili ją — rzekł po chwili, odrzucając niedopałek — zastrzelili ją na bramie. Poszła na spacer.

— Ta pańska sąsiadka?

— Ta, co przyjechała z Pilzna. Moja sąsiadka z domu. Jak wyjeżdżałem we wrześniu, była jeszcze dzieckiem. Nieraz, dawniej, kupowałem jej ciastka. Wie pan, były takie z kremem. Truskawka na czubie? — Zajrzał mi w oczy, niepewny, czy przypominam. — Kolegowałem z jej ojcem — dodał



tonem wyjaśnienia. — A teraz, patrz pan — uderzył mnie dłonią po ramieniu — jaka wypierśna kobieta! Już ją prawie miałem w ręku, już ją obmacywałem i co za nieszczęście...  
Sięgnął znów do kieszeni. Pogrzebał w niej natarczywie. Nie znalazł. Westchnął ciężko i podparł głowę rękoma.  
— Co za nieszczęście! — powtórzył jakby sennie. — Cóż robić? — Pomilczał, pokiwał głową. — Chodźmy na *Grunwald* — zdecydował się.  
— To ja byłem z nią. Byłem z nią w lesie — rzekłem niespodziewanie dla samego siebie. — Przy mnie zastrzelili ją. A pan mi o *Grunwaldzie*...  
Zerwałem się z łóżka. Profesor podniósł głowę, ciężko dźwignął się, jakby wychodził z wody, zakołysał się i chwycił mnie za ręce. Brązowy jeleni, wytłoczony na pasku łączącym szelki, drgał w świetle rakiet jak żywy. Na kościstej twarzy Profesora światła mieszały się i nabrzmiewały, czerwień bełtała się z zielenią, szły razem ku czołu, podpływały pod sufit, a na ich miejsce wylewały się różowe, niebieskie i żółte światła i osadzały się pod brodą, w katach ust, pod oczami, w zagłębieniach uszu, jak farby na portrecie. Twarz Profesora grała wszystkimi kolorami tęczy, pęczniała od środka, puchła, policzki wydymały się jak szkliste, mieniące się banie, jakby Profesor dusił się od światła. Nagle puścił ze świstem powietrze i rozwarłszy szeroko usta ryknął ogromnym, huczącym śmiechem.  
— Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! — dusił się dobrą chwilę od śmiechu, ściskając mi coraz silniej ręce, a światło na-biegło mu natychmiast w otwarte usta i zakotłowało się w nich różnobarwnie.  
— Profesorze, niech pan przestanie! — krzyknąłem wrywając ręce z uścisku. — Pan oszalał!  
— A ja myślałem, że będę spał z nią dzisiaj. Przyszykowałem kolację. Nawet prześcieradło dostałem! Cha, cha, cha, cha! A pan z nią! Młodości! Młodości! — Trząśł się całym ciałem od śmiechu, wielki, chudy, obrzydliwy, kolorowy. Przecież to była taka zwyczajna! Ja ją chciałem! Cha, cha, cha, cha!  
Nagle zachwiał się, zakasłał się gwałtownie i schylił się ku ziemi, charcząc. Cała sala, wypełniona światłami, kołysała się jak okręt. Kolorowe sienniki, stoły, ściany, miski, książki mieniły się i wirowały jak jaskrawe kule.  
— Widzisz, Profesor — odezwał się z kąta syn chorążego — nie trzeba było kochać się na starość. Dziewczyny nie dostałeś, ale gruźlicę. I Grunwaldu nie zobaczysz. — Leż, leż, cholero — dodał niecierpliwie, a łóżko zachrobotało. — Kręci się, jakby jej kto smoły nalał.  
— *Grunwald*, prawda, Grunwald! — Profesor wyprostował się. Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgasła wraz z ostatnią rakieta i poszarzała jak wystygły popiół. — Chodźcie wszyscy na *Grunwald*!  
Za oknem, w mroku, który zgasił rakiety, buchnął nagle rudy płomień, polizał czarne okna jak łaszący się pies i rozkołysał sobą mrok jak dzwon. Cienie drzew wydłużyły się aż ponad dach i chwiały się jak świece.  
— Chodźcie wszyscy na *Grunwald*! — zapiał Profesor. Pociągnął mnie do okna. — Zobacz pan, zobacz pan! — wołał niecierpliwie. Obrócił się ku sali. — Chodźcie wszyscy — rzekł prosząco. — Weź pan dziewczynę, niech i ona zobaczy. — Wychyliłem się za parapet. W czarnej misce podwórza naokoło drgającej bani płonącego stosu, który rozbity wiatrem rozwiewał się jak grzywa pędzącego konia, stał milczący tłum. Błyski ognia ślizgały się po twarzach i nasycaly je krwią, którą zaraz wysysała ciemność. Suche deski płonęły z trzaskiem, a odpryski odlatywały w mrok.  
Światło rakiet umilkło.  
— Był pan w kościółku w osiedlu niemieckim? Nie? — Profesor już się opanował. Mówił poważnie, prawie surowo. Twarz jego, odziana w mrok, stała się znowu ostra i zmęczona. Ja tam codziennie chodzę. Spokojnie. Pełno Boga. Aż się wylewa. Amboneczka, w okieneczkach krateczki, maleńki ołtarzyk, sentencje z Biblii na ściankach. A pod jedną ze ścianek krzyżyki, na krzyżykach klepsydry, sami SS-mani! Rozumiesz pan? A kwiatów pod krzyżykami, zatrząsienie kwiatów! — W oczach jego płonął rudy blask ogniska. — Tak Niemcy czczą swoich umarłych.  
— A my? — mruknąłem z ubolewaniem. — Pies z kulawą nogą nie zadba, jak człowiek zdechnie.  
Syn chorążego wstał z łóżka i przyczłapał nagi do okna. Dziewczyna w nocnej koszuli sunęła za nim cicho jak duch. Czarny Cygan podparł się na łokciu i z zazdrością patrzył za okno.  
— My? — powtórzył Profesor w zamyśleniu. — My jesteśmy tuż przy nich. My... Patrzcie! — krzyknął drapieźnie — patrzcie na ognisko! Na to czekam, to Grunwald!

Na stos dorzucono świeżych sosnowych gałęzi. Ogień przygasł. Powiało gęstym, brudnym dymem. Wiatr odparł dym, płomień bryznął pod niebo. Z tłumy wytrząśł się ksiądz w sutannie. Biały kołnierzyk ścisnął rudą szyję. Ksiądz podniósł obie ręce, jakby błogosławił. Gdzieś w głębi ciemności wywleczono człowieka w mundurze esesmańskim. Hełm z brzękiem spadł na beton dziedzińca. Tłum buchnął

śmiechem. — Człowiekowi wciśnięto z powrotem hełm na głowę. Ksiądz ujął go za ramiona, dźwignął z wysiłkiem i wśród okrzyków tłumu cisnął człowieka w ogień.

Twarz stojącej obok mnie dziewczyny poszarzała jak popiół. Oczy jej jak dwa węgle żarzyły się przerażeniem. Zgasły, przykryte powiekami. Wczepiła we mnie kurczowo palce.

— *Was ist los?* — zaszeptała szcękając zębami. Pogląskałam ją uspokajająco po chłodnej dłoni. Wparła się we mnie całym ciałem. Podnosił się od niej zapach, bił w nozdrza i wdrażał się w ciało. — *Was ist los?* — usta jej skrzywiły się. Odgarnęła włosy znad czoła.

— *Ruhig, ruhig, Kind* — rzekł łagodnie Profesor. — To pali się kukła SS-mana. — To nasza odpowiedź — na krematoria i na kościółek.

— I na martwą dziewczynę — warknąłem przez zęby.

Sięgnąłem dłonią do tyłu. Ciepłe ciało dziewczyny przylgnęło do mnie szczelnie i drżało z podniecenia i strachu. Dyszała mi wprost w kark parnym, gorącym oddechem.

Przed tłum wystąpił Aktor, gruby, mały, ogarnięty blaskiem jak czerwonym płaszczem, i podczas gdy ksiądz ciskał w ogień coraz to nowe kukły, które jak podlane naftą rozrywały się słupem płomienia i skręcały się w tym ruchu jak żywe, on podniósł ramiona w górę, uciszył krzyczący tłum, jednym gestem dłoni rozszczepił go wzdłuż szerokiej ulicy, dźwignął głowę ku ciemnym dachom koszar i dał znak.

Buchnęły kaskady rakiet. Niebo zapaliło się jak choinka, trysnęło bengalskimi ognikami i spadało kroplami na ziemię. Ze strychów odezwały się długie serie karabinów maszynowych. Dymne pociski szły' popielatymi smugami przez niebo jak stada dzikich gęsi. Tłum, objęty pożarem rakiet, zajaskrawił się wraz z całym podwórzem, które kłębiło się i wirowało jak gnana wiatrem bańka mydlana.

— Niech umarli grzebią umarłych — rzekł w zadumie Profesor. — My, żywi, idźmy z żywymi. — Policzki jego, zanurzone w tygiel rakiet, znów nabrzmiały i napęczniały. Naraz Profesor zarechotał po raz drugi śmiechem. — Żywi z żywymi! Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! Żywi z żywymi. Tak jak oni, na zawsze! Patrzcie!

Wyciągnął rękę w stronę hali tonącej w mętym mroku. Spod jej cienia, jak spod olbrzymiej skorupy na wpół otwartej ostrzem ognia, między kamiennymi ścianami budynków zamazanych cieniem drzew, po dziedzińcu poesesmańskich koszar, na którym w rocznicę bitwy pod Grunwaldem rzucano na stos słomiane kukły żołnierzy z SS, w przededniu transportu, który wszystko miał zniszczyć i rozproszyć bezpowrotnie ludzi — głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i śpiewał.